

Moje miejsce pod słońcem

Harmonijny, jasny, szary gmach, który się mieści w Warszawie przy uliczce o prozaicznej nazwie Karasia, ale położonej o kilka kroków od Krakowskiego Przedmieścia – to Teatr Polski. Instytucja artystyczna wielce zastąpiona dla kultury narodowej naszego kraju. Jej twórcą, założycielem, wieloletnim – i w końcu honorowym – dyrektorem był pan Arnold Szyfman. Człowiek pod wieloma względami niezwykły. Nie dotowało go bowiem przez długi czas państwo, gdyż w 1913 roku – to jest w roku uroczystego otwarcia najbardziej nowoczesnej sceny stolicy – niepodległe państwo polskie jeszcze nie istniało. A mimo to Teatr Polski powstał w tym jakże trudnym okresie historycznym, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Powołały go do życia twórcza inicjatywa, umiłowanie sztuki, niewyczerpana energia Arnolda Szyfmana i ofiarność elity ówczesnego społeczeństwa, finansującej budowę gmachu.

Dziś Państwowy Teatr Polski liczy sobie już 75 lat działalności artystycznej. Z okazji tego jubileuszu, a i przed nim jeszcze, liczne tygodniki proponowały mi napisanie wspomnień o Teatrze Polskim, bo jeśli w siedemdziesięciu pięciu sezonach teatralnych – ja odpracowałam pięćdziesiąt dwa, grając role *prowadzące*, to muszę mieć wiele do powiedzenia. Mam na ten temat nieco odmienne zdanie. Uważam, że najlepiej się opisuje, czy też wspomina zjawiska i sprawy, do których się ma zdecydowany dystans uczuciowy. Wtedy stać nas i na osąd bardziej obiektywny i na krytykę zdarzeń artystycznych mocniej wyostrzoną, trafną. Otóż dla mnie Teatr Polski był zawsze sprawą serdecznie subiektywną, a przy tym nadrzędną, o wiele ważniejszą od wszystkich osobistych zainteresowań, zobowiązań, czy możliwości.

Podpisałam swój kontrakt z tą sceną – jak się okazało – nie na kilka sezonów, ale na całe życie. Przekonałam się, że ustroje społeczne, koniunktury gospodarcze, dyktatorzy i dyrektorzy zmieniają się, a szary gmach przy uliczce Karasia, na szczęście, trwa. Oddałam mu moją pierwszą pełną zapalną młodość... Wiara w nieograniczone możliwości słowa. W jego murach przeżyłam swoje najpiękniejsze romantyczne role, oparte zresztą na uczuciu autentycznej miłości, na zachwycie i bólu z powodu niespożytych pomysłów reżysera, któremu na imię Los. W jego murach również zetknęłam się z naszymi najstawniejszymi reżyserami. Z Leonem Schillerem, Juliuszem Osterwą i Aleksandrem Węgielką na czele, żeby wymienić tylko największych. Występowałam u boku Marii Przybyłko-Potockiej, Seweryny Broniszówny, Marii Dulęby, Mieczysławy Ćwiklińskiej, Józefa Węgrzyna,



Maria Stuart – rok 1958 Fot. B. J. Dorys

Junoszy Stępowskiego, Jerzego Leszczyńskiego, Aleksandra Zelwerowicza i wielu, wielu innych.

Cóż dziwnego, że już po pierwszych kilku sezonach uznałam, iż Teatr Polski to moje miejsce pod słońcem. Że chcę w nim zostać, bo tu się urodziła moja Solange, a z nią i początek aktorskiej legendy. Solange, o której Julian Tuwim po powrocie do kraju mówił:

*Muślinową miałaś sukienkę
Zieloną
Dobrej nocy, śliczna panienko
Ach, żono!*

Ale wbrew poecie i moje małżeństwo w niczym nie naruszyło suwerennej roli Teatru Polskiego w moim życiu. Przeciwnie. Z biegiem lat zaczęłam przeżywać jego dobre i złe passy, tak jak moją własną uczuciową rzeczywistość. Od wszelkich wyjazdów, wielkich przyjęć, czy innych życiowych radości zawsze ważniejszy był dla mnie udział i – w miarę możliwości – sukces w kolejnej pracy na scenie Teatru Polskiego. Tym bardziej że po młodzieńczych rolach, w których mnie niósł temperament, entuzjazm, głos, przyszły role wymagające większej dojrzałości artystycznej i głębszego opanowania duchowej treści utworu. Do takich ról, według opinii publicznej, należały w pierwszym rzędzie: Święta Joanna, Maria Stuart, Lady Makbet, Kleopatra. I byłam szczęśliwa, grając te postacie.

Właśnie dlatego sądzę, że to raczej przyszli historycy Teatru Polskiego potrafią opisać jego dzieje, a w nich, siłą faktów, i moje – bezstronnie, obiektywnie, z dystansem. A ja nigdy nie chciałam się podjąć tego zadania, bo kochałam. Tak jest. I dziś jeszcze badzo Kocham Teatr Polski. W mę-

czącej zmienności naszych dni, w rozchwianiu, czy nawet zaniku hierarchii wartości – dobrze jest pomyśleć, że jednak można było bez przymusu, bez wyrachowania, dotrzymać wierności jednemu centrum artystycznemu, które zresztą potrafiło dobrze wychować plejadę swoich gwiazd. Oczywiście, że i ta sławna scena, dysponująca przez dłuższy czas najlepszym aktorskim zespołem w kraju – jak każdy żyjący organizm teatralny – miała swoje okresy blasku i swoje niepokojące smugi cienia. Musiała mieć. Bynajmniej nie pragnę przedstawić teraz czytelnikom i moich pięćdziesięciu dwóch sezonów jako nieustającej idylli. Skądże! Wiele miałam bezsennych nocy, też, walk z intrygującą kliką i stresów. Ale zdarzały mi się także i niezwykle rozmowy, nieoczekiwane dowody zaufania, ba, nawet wspaniałomyślne, dyrektorskie decyzje, już na samym początku mojej drogi artystycznej.

Nigdy nie zapomnę, na przykład, pierwszej wiążącej rozmowy z wszechwładnym wówczas dyrektorem Szyfmanem. Miała

ona miejsce właśnie wewnątrz Teatru Polskiego, w pięć minut po skończonym popisie Szkoły Dramatycznej, na którym grałam Salome Wilde'a w minikostiumie Teresy Roszkowskiej. Póływa od przeżytych emocji, z rozrządzeniem słuchałam słów mojej ciotki, Marii z Andryczów Micińskiej (matki Bolesława), która się trochę dziwiła, że gram pierwszą dopiero rolę, a już jestem prawie naga... Pokazywałam jej ryciny hebrajskiej księżniczki tylko w napierśnikach i tiulu na biodrach, kiedy w drzwiach garderoby pojawił się znany reżyser Janusz Warnecki. Uśmiechnął się jednym ze swoich najładniejszych scenicznych uśmiechów i powiedział: „Prosi panią do swego gabinetu dyrektor Szyfman”. Ależ ona jest prawie naga – kontynuowała ciocia – trzeba się przebrać. „Wystarczy narzucić na kostium letni płaszcz” – odparł reżyser. – „Dyrektor Szyfman nie może przecież czekać”.

Tak więc weszłam do sławnego gabinetu na drugim piętrze, o pojawieniu się w którym marzyli wszyscy zdolni młodzi aktorzy w kraju. Musiałam przytrzymać nie dopięty płaszcz, a złoty puder z włosów księżniczki Salome, od majowego przewiewu w oknach, zlatywał na dyrektorskie biurko. Szyfman przyjrzał mi się badawczo i, nie podając ręki rzekł: „Jesteśmy skłonni zaangażować panią do Teatru Polskiego”. Po czym chwilę odczekał i dodał: „Pani się podobała pani Marii Przybyłko-Potockiej”. Zawsze tak mówił o swojej ukochanej żonie i pierwszej aktorce zespołu.

Dokończenie na str. 18

Święta Joanna – rok 1957

Fot. Franciszek Myszowski



Moje miejsce pod słońcem

Dokończenie ze str. 9

– „Jestem bardzo zaszczycona, nie, jestem wzruszona, ale...” – „Jakie: ale” – zapytał i zmarszczył brwi. – „Panie dyrektorze, chciałabym, to jest raczej muszę chwilowo, no, może tylko na parę miesięcy, wyjechać z Warszawy” – wystękałam, roniąc nadal złoty puder na jakiś papier. – „Gdzie – zapytał prawie gniewnie – i po co?” „Do Wilna, ale wcale nie dlatego, że tam obiecali mi Ofelię, nie...” – brnęłam dygocząc z lęku, że zniszczę swoją życiową szansę. – „Panie dyrektorze, proszę mi wierzyć, że po prostu muszę na razie opuścić Warszawę”. I, o dziwo, zagniewana twarz mojego przyszłego chlebodawcy nagle jakby się trochę rozjaśniła. „Sprawa sercowa” – stwierdził, dając dowód intuicji bezbłędnej. „No cóż, niech pani jedzie, ale proszę pamiętać – jeśli rola Ofelii będzie położona, to ja pierwszy będę o tym wiedział i wtedy nie ma już mowy o Teatrze Polskim. Jeśli natomiast zagra ją pani przyzwoicie, może się pani zgłosić do mnie po upływie tych paru miesięcy”.

Wszyscy mi później mówili, że taka tolerancja ze strony wszechmocnego dyrektora w stosunku do dwudziestolatki bez nazwiska, była istotnie czymś niezwykłym. Na szczęście nie położyłam Ofelii, a dyrektor Szyfman dotrzymał słowa.

Tak więc na jesieni roku 1935 weszłam na dużą scenę Teatru Polskiego. Z wielką radością dowiedziałam się, że zadebiutuję w sztuce Szekspira „Król Lear” pod batułą reżyserską Leona Schillera, który świetnie mnie znał ze Szkoły Dramatycznej. Z tego właśnie powodu powierzył mi od razu dużą i trudną rolę Regany, rudowłosej, złej córki króla Leara – Węgrzyna. Mojego zdradzonego męża, którym okropnie poniewierałam, odtwarzał Edmund Wierciński, przyszły reżyser „Lata w Nohant”.

W kilka dni po tej otwierającej sezon premierze, dyrektor Szyfman w przelocie, na korytarzu, stwierdził krótko: „Będzie pani grała”. Stojący obok znakomity aktor i bardzo dobry człowiek, Wojciech Brydziński szepnął mi: „Moje dziecko, usłyszałaś niebagatelny komplement od taty. To zobowiązuje.”

I rzeczywiście. Już po raz drugi byłam zobowiązana i wzruszona postępowaniem mojego szefa. Poczułam się dobrze nie tylko w akcji, w burzliwej scenerii na wielkiej scenie, ale dość szybko polubiłam nawet zejście ze schodów, prowadzących z garderoby za kulisy, ku światłom sceny. I dziś lubię. Rozgościłam się także, a później zadomowiłam, w przydzielonej mi garderobie aktorskiej numer 15 na pierwszym piętrze. I przeczekałam w niej szczęśliwie niejedną dziejową burzę, przygotowując się sumiennie do wyjścia na scenę w kolejnej nowej roli.

Toteż kiedy dziennikarze zapytują przy każdej okazji: co panią doprawdy tak wiąże z Teatrem Polskim? – odpowiadam: Moja młodość. Moja miłość. I praca, praca, praca.

NINA ANDRYCZ